

ROLAND

STEPHEN
KING



MRO CZNA WIEŻA I

Rozdział 1

REWOLWEROWIEC

I

Człowiek w czerni uciekał przez pustynię, a rewolwerowiec podążał w ślad za nim.

Pustynia stanowiła kwintesencję wszystkich pustyń – ogromna, rozpościerająca się niczym wieczność we wszystkich kierunkach. Była biała, oślepiająca i bezwodna, pozbawiona wszelkich punktów orientacyjnych prócz spowitych mgłą gór, które rysowały się niewyraźnie na horyzoncie, oraz kęp diabelskiej trawy, prowadzącej słodkie sny, koszmary i śmierć. Wyłaniający się co jakiś czas słupek wskazywał drogę, albowiem porożyte koleinami szlak, który przecinał alkaliczną skorupę, był kiedyś traktem i jeździły nim dyliżanse i bryki. Od tamtego czasu świat poszedł naprzód. Świat opustoszał.

Na chwilę zakreśliło mu się w głowie, zachciało ziewać, i cały świat stał się nagle czymś efemerycznym, co można przejrzeć na wylot. A potem to uczucie minęło i podobnie jak świat, po którego skórze stapał, rewolwerowiec poszedł naprzód. Pokonywał kolejne mile równym krokiem, nie spiesząc się i nie zbaczając ze szlaku. Skórzany bukłak opasywał go niczym pęto kiełbasy. Był prawie pełen. Rewolwerowiec przez wiele lat doskonalił się w *khef* i doszedł chyba do piątego poziomu. Gdyby był świętym mężem Manni, nie czułby nawet pragnienia; obserwowałby z kliniczną

chłodną uwagą swoje odwadniające się ciało, nawilżając jego szczeliny i mroczne wewnętrzne zakamarki, kiedy podpowiadałby mu to rozum. Nie był jednak Manni ani wyznawcą Jezusa-Człowieka i w żadnym wypadku nie uważał się za świętego. Był, innymi słowy, zwyczajnym pielgrzymem i jedno tylko wiedział na pewno: że jest spragniony. Mimo to nie odczuwał szczególnie wielkiej potrzeby, by się napić. W jakiś nieokreślony sposób wszystko to sprawiało mu przyjemność. Tego właśnie wymagał ten kraj, spragniony kraj, a w długim życiu rozwinął zdolności adaptacyjne.

Pod buklakiem miał swoje rewolwery, świetnie wyważone i dopasowane do ręki; kiedy dostał je od ojca, który był lżejszy i nie tak wysoki jak on, opatrzone je plakietkami. Dwa pasy krzyżowały się nad jego kroczem. Kabury były dobrze naoliwione, żeby nie popękały w prażącym bezlitośnie słońcu. Kolby rewolwerów wykonano z żółtego, mazerowanego sandałowego drewna. Rzemyki z surowej skóry, które przytrzymywały kabury przy udach i kołysały się lekko przy każdym kroku, starły błękit z jego dżinsów i zostawiły na materiale dwa podobne do uśmiechów łuki. Tkwiące w ładownicach mosiężne naboje puszczały zajączki na słońcu. Skóra cicho skrzypiała.

Rozchylona pod szyją koszula rewolwerowca miała nieokreślony kolor deszczu lub kurzu. Między jej ręcznie dzierganymi dziurkami przewleczone były luźny rzemyk. Kapelusz gdzieś zgubił. Podobnie zresztą jak róg, który kiedyś niósł; ów utracony przed laty róg wypadł z ręki konającego przyjaciela i rewolwerowiec tęsknił za jednym i drugim.

Wspiał się po łagodnym zboczu wydmy (choć w zasadzie nie było tu piasku; powierzchnię pustyni stanowił skalny zlepieniec i nawet porywiste wiatry, które wiały po zapadnięciu zmroku, niosły wyłącznie pył ostry niczym proszek do czyszczenia) i zobaczył z boku, tam gdzie najwcześniej chowało się słońce, porozrzucane szczątki niewielkiego ogniska. Nigdy nie przestawały go cieszyć drobne, podobne do tego ślady, po raz kolejny potwier-

dzające przynależność człowieka w czerni do rodzaju ludzkiego. Wargi rewolwerowca skrzywiły się w dziobatej, łuszczącej się twarzy. Ukucnął.

Jako opału człowiek w czerni użył oczywiście diabelskiego ziele – jedynej rzeczy, która się tu do tego nadawała. Ziele paliło się tłustym płaskim płomieniem, i paliło się wolno. Mieszkańcy pogranicza mówili, że diabeł mieszka nawet w płomieniach. Palili je, lecz nie patrzyli w ogień. Mówili, że diabły hipnotyzują, dają znaki i w końcu wciągają w płomienie tego, kto patrzy. Mógł je ujrzeć każdy, kto był na tyle głupi, by spojrzeć w ogień.

Żdźbła spalonej trawy ułożone były w znajomy już kształt ideogramu. Pod ręką rewolwerowca rozsypały się w szary bezsens. W popiele nie było nic oprócz zwęglonego plasterka boczku, który zjadł w zadumie. Tak było zawsze. Od dwóch miesięcy podążał za człowiekiem w czerni przez pustynię – bezkresny, przeraźliwie monotonny czyścicowy ugór – i nie znalazł na razie innych tropów prócz higienicznie sterylnych ideogramów jego ognisk. Nie znalazł manierki, butelki ani bukłaka (sam zostawił ich za sobą cztery, niczym zrzucane przez węża skóry). Nie znalazł żadnych odchodów. Podejrzewał, że człowiek w czerni je palił.

Być może same ogniska mogły stanowić wiadomość pisaną Wielkimi Literami. Mogły znaczyć: *Trzymaj się z daleka, partnerze*. Albo: *Koniec jest już blisko*. Albo nawet: *Spróbuj mnie złapać*. To, co znaczyły lub nie znaczyły, nie miało znaczenia. Nie znał się na wiadomościach, jeśli to były wiadomości. Ważne, że ten popiół okazał się tak samo zimny jak inne. Mimo to coś zyskał. Wiedział, że jest coraz bliżej, choć nie wiedział, skąd to wie. To też nie miało znaczenia. Będzie szedł dalej, aż coś się zmieni, a jeśli nic się nie zmieni, i tak będzie szedł dalej. Jeśli Bóg zechce, będzie woda, mawiali weterani. Woda z łaski Boga, nawet na pustyni. Rewolwerowiec wstał i otrząpał ręce.

Żadnych innych tropów; ostry jak brzytwa wiatr wywiał wszelkie ślady, które mogły się odcisnąć na ubitej ziemi. Żadnych ludzkich

ekskrementów, żadnych śmieci ani śladów, gdzie te rzeczy mogły zostać zakopane. Nic. Tylko te wystygłe ogniska wzdłuż wiodącego na południowy wschód starodawnego traktu i funkcjonujący bez przerwy dalmierz w jego własnej głowie. Choć oczywiście było w tym coś więcej; ta siła, która ciągnęła go na południowy wschód, była czymś więcej aniżeli tylko zmysłem orientacji, czymś więcej nawet niż magnetyzmem.

Usiadł i pozwolił sobie na niewielki łyk wody z bukłaka. Pomyślał o wcześniejszym krótkim zawrocie głowy, tym poczuciu zerwania więzi ze światem, i zastanawiał się, co mogło oznaczać. Dlaczego ten zawrót przypominał mu róg i ostatniego ze starych przyjaciół, którego stracił dawno temu na wzgórzu Jericho? Miał rewolwery – rewolwery swojego ojca – i z pewnością były one ważniejsze od rogów... i nawet przyjaciół.

Czy aby na pewno?

To pytanie w dziwny sposób nie dawało mu spokoju, ponieważ jednak nie było na nie innej odpowiedzi poza tą oczywistą, odsunął je od siebie. Być może zastanowi się nad nim później. Przebiegł oczyma pustynię i spojrzał na słońce, które chyliło się w dół w odległym kwadrancie nieba, znajdującym się, co niepokojące, nie całkiem na zachodzie. A potem wstał, wyjął wciśnięte za pas wytarte rękawice i zaczął rwać diabelskie ziele na własne ognisko, które rozpałił w popiele pozostawionym przez człowieka w czerni. Ironia tego faktu, podobnie jak doskwierające pragnienie, sprawiała mu gorzką satysfakcję.

Krzesiwem i krzemieniem posłużył się dopiero, kiedy o minionym dniu świadczyło tylko ulotne ciepło gruntu pod stopami i szydercza pomarańczowa kreska na monochromatycznym horyzoncie. Siedząc z rewolwerami na kolanach, spoglądał cierpliwie na południe, w stronę gór, nie spodziewając się i nie mając nadziei, że zobaczy pomarańczową iskrę płomienia albo cienką, prostą nitkę dymu z innego ogniska. Patrzył, bo to należało do gry i było w specyficznie gorzki sposób przyjemne. *Nie zobaczysz tego, czego*

nie szukasz, gnido, powiedziałby Cort. Otworzysz w końcu te gały, które dali ci bogowie?

Nie zobaczył jednak niczego. Był blisko, ale tylko stosunkowo blisko. Nie dość blisko, by ujrzeć pomarańczowy błysk obozowego ogniska i strużkę dymu o zmierzchu.

Skrzesał iskrę na suche, postrzępione źdźbła, mruczając przy tym obdarzone mocą stare, bezsensowne słowa.

– Iskierko-w-mroku, gdzie mój pan? Czy się położę? Czy zostanę? Pobłogosław ten obóz ogniem.

A potem położył się po nawietrznej, tak żeby dym zwiewało na pustynię. Wiatr, z wyjątkiem wirujących co jakiś czas małych trąb powietrznych, był niezmienny.

Wyżej płonęły gwiazdy, również niezmiennie. Miliony słońc i światów. Przyprawiające o zawrót głowy konstelacje, zimny ogień w każdym pierwotnym odcieniu. Na jego oczach niebo zmieniło kolor z fioletowego na hebanowy. Meteor zakreślił krótki spektakularny łuk pod Starą Matką i zgasł. Ogień rzucał dziwne cienie; diabelskie ziele wypalało się powoli, tworząc nowe wzory – nie ideogramy, lecz proste, krzyżujące się linie, w nieokreślony sposób złowrogie w swojej rzeczowej stałości. Wzór, w który ułożył opał, nie był artystyczny, lecz pragmatyczny. Mówił o tym, co białe i co czarne. Mówił o mężczyźnie prostującym źle zawieszone obrazy w obcych hotelowych pokojach. Ognisko paliło się równym wolnym płomieniem; w jego rozżarzonym jądrze tańczyły fantomy. Rewolwerowiec nie widział ich. Dwa wzory, wzór sztuki oraz wzór biełości, zlały się ze sobą, kiedy spał. Wiatr pojękiwał niczym chora na raka wiedźma. Co jakiś czas zabłąkany wir powietrza porywał smugi dymu i dmuchał nim w jego nozdrza, tkając kanwę snów w taki sam sposób, w jaki mały pyłek stwarza perłę w ostrzydze. Chwilami rewolwerowiec pojękiwał do wtóru z wiatrem. Gwiazdy nie zwracały na to uwagi, podobnie jak nie zwracały uwagi na wojny, ukrzyżowania oraz rebelie. To również powinno sprawić mu przyjemność.

II

Schodząc z ostatniego wzgórza, rewolwerowiec prowadził muła o wybałuszonych od skwaru martwych oczach. Ostatnie miasteczko minął trzy tygodnie wcześniej i podążając starym traktem, którym kiedyś jeździły dyliżanse, napotykał odtąd wyłącznie kryte darnią osady mieszkańców pogranicza. Osady zmieniły się w pojedyncze chaty, zamieszkane na ogół przez trędowatych albo wariatów. Bardziej odpowiadało mu towarzystwo wariatów. Jeden z nich wręczył mu kompas marki Silva z nierdzewnej stali, każąc go oddać Jezusowi-Człowiekowi. Rewolwerowiec wziął go z poważną miną. Jeśli Go spotka, na pewno odda kompas. Nie spodziewał się tego, ale wszystko było możliwe. Kiedyś zobaczył *taheen* – w tym wypadku człowieka z głową kruka – ale gdy do niego zawołał, niewydarzone stworzenie uciekło, kracząc jakieś słowa. A może nawet przekleństwa.

Minęło już pięć dni, odkąd minął ostatnią chatę, i podejrzewał, że nie zobaczy ich więcej, a jednak wspiawszy się na szczyt ostatniego zwietrzałego wzgórza, ujrzał znajomy kryty darnią, niski dach.

Osadnik, zaskakująco młody człowiek ze zmierzwioną grzywą jasnych włosów o słomianym odcieniu, które sięgały mu prawie do pasa, pielł z zacieklą gorliwością niewielkie poletko kukurydzy. Muł sapnął ciężko. Osadnik podniósł wzrok i utkwiał na chwilę swoje płonące błękitne oczy w przybyszu. Nieuzbrojony, nie miał żadnego grotu ani *bah*, które byłoby widać. Podniósł obie ręce w krótkim geście pozdrowienia i pochylił się, żeby dalej pielł położoną najbliżej chaty grzędę, ciskając co chwila przez ramię diabelskie ziele i rzadziej karłowatą łodygę kukurydzy. Jego czupryna trzęsła się i powiewała na wietrze, który dął prosto z pustyni, nie napotykając po drodze żadnych przeszkód.

Rewolwerowiec zszedł powoli ze wzgórza, prowadząc muła z chlupoczącą w bukłakach wodą. Zatrzymał się przy skraju

uschłego zagonu, napił trochę wody z bukłaka, żeby pobudzić wydzielanie śliny, po czym splunął na jałową ziemię.

– Życie za twoje zbiory.

– Życie za twoje własne – odparł osadnik i wyprostował się.

Coś chrupnęło głośno w jego plecach. Przyjrzał się bez lęku przybyszowi. Widoczna między brodą i czupryną skóra twarzy nie nosiła śladów zgnilizny, a w oczach, choć nieco dzikich, nie malowało się szaleństwo.

– Długich dni i przyjemnych nocy, cudzoziemcze.

– Ty miej ich dwa razy tyle.

– To niemożliwe – odparł osadnik, parszcząc śmiechem. – Nie mam nic prócz kukurydzy i fasoli. Kukurydza jest za darmo, ale musisz kopsnąć coś za fasolę. Dostarcza ją tu co jakiś czas pewien gość. Nie bawi u mnie zbyt długo. – Osadnik ponownie się roześmiał. – Boi się duchów. I człowieka-ptaka.

– Widziałem go. To znaczy człowieka-ptaka. Uciekł przede mną.

– Owszem, zgubił się. Twierdzi, że szuka miejsca, które nazywa się Algul Siento, tyle że czasami nazywa je Błękitną Przystanią albo Niebem. Nie mogę go dobrze zrozumieć. Słyszałeś o takim miejscu?

Rewolwerowiec pokręcił głową.

– No cóż... *taheen* nie gryzie ani nie kole, więc chuj z nim – mruknął osadnik. – Jesteś żywy czy martwy?

– Żywy – odparł rewolwerowiec. – Mówisz jak Manni.

– Byłem z nimi jakiś czas, ale to nie było życie dla mnie. Za bardzo się spoufalają i szukają dziur na całym świecie.

Rewolwerowiec uświadomił sobie, że to prawda. Manni byli wielkimi podróżnikami.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

– Nazywam się Brown – powiedział osadnik, wyciągając rękę.

Rewolwerowiec uściśnął ją i podał mu własne nazwisko. Kiedy to robił, chudy kruk zakrakał z niskiego szczytu krytego darnią dachu.

– To Zoltan – powiedział osadnik, wskazując ręką ptaka.

Na dźwięk swojego imienia kruk zakrakał ponownie, podfrunął do Browna i wylądował na jego głowie, wbijając mocno szpony w zmierzwioną czuprynę.

– Chromolę cię! – zakrakał rezolutnie. – Chromolę ciebie i konia, którego dosiadasz.

Rewolwerowiec pokiwał z uznaniem głową.

– Fasola, fasola to czysta muzyka – wyrecytował zachęcony tym kruk. – Im więcej jej żrzesz, tym częściej przykasz.

– Ty go tego nauczyłeś?

– Chyba tylko tego ma ochotę się uczyć – odparł Brown. – Próbowaleam go kiedyś nauczyć Modlitwy Pańskiej. – Jego oczy pobiegły na chwilę poza chatę, w stronę kamienistej, pozbawionej punktów orientacyjnych równiny. – W tym kraju nie odmawiają chyba Modlitwy Pańskiej. Jesteś rewolwerowcem. Zgadza się?

– Tak.

Rewolwerowiec przykucnął na piętach i wyjął woreczek z tytoniem. Zoltan sfrunął z głowy Browna i wylądował, trzepocząc skrzydłami, na jego ramieniu.

– Myślałem, że twój rodzaj wyginał.

– Więc możesz się przekonać, że jest inaczej.

– Przybyłeś ze Świata Wewnętrznego?

– Dawno temu – przyznał rewolwerowiec.

– Czy coś tam zostało?

Rewolwerowiec nie odpowiedział, ale wyraz jego twarzy sugerował, żeby lepiej nie drażyć tego tematu.

– Domyślam się, że ścigasZ tego drugiego – mruknął osadnik.

– Tak – odparł rewolwerowiec. Z jego ust padło nieuniknione pytanie: – Jak dawno tędy szedł?

Brown wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Z czasem dzieją się tutaj dziwne rzeczy. Z odległością i kierunkami także. Więcej niż dwa tygodnie temu. Mniej niż dwa miesiące. Fasolarz odwiedził mnie od tamtego czasu dwa

razy, więc przypuszczam, że to było przed sześcioma tygodniami. Chociaż mogę się mylić.

– Im więcej żresz, tym częściej przykasz – oznajmił Zoltan.

– Czy się zatrzymał? – zapytał rewolwerowiec.

Brown pokiwał głową.

– Został na kolacji, podobnie jak możesz zostać i ty, jeśli masz ochotę. Spędziliśmy miło czas.

Rewolwerowiec wstał. Ptak zakrakał i pofrunął z powrotem na dach. Rewolwerowiec poczuł, że wewnętrznie drży.

– O czym mówił?

Brown podniósł brwi.

– Niewiele się odzywał. Czy padał tutaj w ogóle deszcz, od kiedy tu przybyłem, i czy pochowałem swoją żonę. Pytał, czy należała do Manni, i odparłem „ano”, bo chyba i tak to wiedział. Mówiłem głównie ja, co rzadko się zdarza. – Brown przerwał i przez chwilę słychać było tylko dujący wiatr. – To czarownik, prawda?

– Między innymi.

Brown pokiwał powoli głową.

– Wiedziałem. Wyciągnął królika z rękawa, wypatroszonego i gotowego do włożenia do garnka. A ty?

– Czy jestem czarownikiem? – Rewolwerowiec się roześmiał. – Jestem tylko człowiekiem.

– Nigdy go nie dopadniesz.

– Dopadnę go.

Popatrzyli jeden na drugiego, czując do siebie nagle głęboką sympatię – osadnik na swoim suchym jak pieprz poletku, przybysz na skalnej płycie, która opadała ku pustyni.

Rewolwerowiec sięgnął po krzesiwo.

– Proszę – powiedział Brown, wydając zapalnik z siarczanym czubkiem i zapalając ją brudnym paznokciem.

Rewolwerowiec zbliżył papierosa do płomienia i zaciągnął się dymem.

– Dzięki.

– Na pewno będziesz chciał napęłnić swoje bukłaki – powiedział osadnik i odwrócił się do niego plecami. – Źródło jest pod okapem z tyłu. Ja idę szykować kolację.

Rewolwerowiec obszedł dom, stąpając ostrożnie po zagonach kukurydzy. Źródło biło na dnie wykopanej ręcznie studni, którą ocembrowano kamieniami zabezpieczającymi sypką ziemię przed zawałem. Schodząc po rozchybotanej drabinie, zdał sobie sprawę, że budowa studni – wykopanie dołu, a potem zwiezenie i ułożenie kamieni – mogła zająć nawet dwa lata. Woda była czysta, lecz płynęła powoli i napełnienie bukłaków trwało bardzo długo. Gdy kończył napełniać drugi, na skraju studni przycupnął Zoltan.

– Chromolę ciebie i konia, którego dosiadasz – oznajmił.

Zaskoczony rewolwerowiec zerknął w górę. Szyb miał piętnaście stóp wysokości; był wystarczająco głęboki, żeby Brown cisnął w niego kamieniem, rozbił mu głowę i ze wszystkiego okradł. Wariat albo trędowaty nie zrobiliby tego; Brown nie był ani jednym, ani drugim. Mimo to polubił go. Odsunął od siebie złe myśli i zaczął napełniać kolejny bukłak daną przez Boga wodą. Co jeszcze szykował Bóg, zależało od *ka*, nie od niego.

Kiedy przekroczył próg chaty i zszedł po schodkach w dół (podłoga izby znajdowała się poniżej poziomu gruntu, żeby zatrzymać nocny chłód), Brown trzymał w ręku szpatułkę z twardego drewna i wpychał nią kolby kukurydzy między głównie. Dwa poobijane talerze stały po przeciwnych stronach ciemnobrązowego koca. W wiszącym nad ogniem kociołku zaczynała bulgotać woda na fasolę.

– Za wodę też zapłacę.

Brown nie podniósł wzroku.

– Jak chyba wiesz, woda jest darem Boga. Fasolę przynosi Pappa Doc.

Rewolwerowiec parsknął śmiechem i usiadł, opierając się plecami o szorstką ścianę. Po chwili skrzyżował ręce na piersi i za-

mknął oczy. Do jego nozdrzy dotarł zapach prażonej kukurydzy. Słyszał podobny do toczących się kamyków grzechot, kiedy Brown wsypywał do kociołka suszoną fasolę. I co jakiś czas tak-tak-tak, spacerującego niespokojnie po dachu Zoltana. Był zmęczony; po horrorze, którego doświadczył w ostatnim miasteczku, Tull, siedł przez szesnaście, a czasami nawet osiemnaście godzin dziennie. I był na nogach od dwunastu dni; muł padał z nóg, a to, że żył, wynikało wyłącznie z przyzwyczajenia. Rewolwerowiec znał kiedyś chłopca imieniem Sheemie, który miał muła. Sheemiego już nie było, podobnie jak innych – zostało ich tylko dwóch: on i człowiek w czerni. Słyszał opowieści o innych leżących za tym krajach, zielonych krajach w miejscu nazywanym Światem Pośrednim, ale trudno było w nie uwierzyć. Zielone kraje wydawały się tutaj dziecinna fantazja.

Tak-tak-tak.

Minęły dwa tygodnie, powiedział Brown, albo nawet sześć. To nie miało znaczenia. W Tull mieli kalendarze i pamiętali człowieka w czerni, ponieważ uzdrowił tam miejscowego starca. Starca, który konał od ziela. Trzydziestopięcioletniego starca. I jeśli Brown się nie mylił, rewolwerowiec znacznie zmniejszył dystans dzielący go od człowieka w czerni. Teraz jednak musiał pokonać pustynię. A pustynia będzie piekłem.

Tak-tak-tak.

Użycz mi swoich skrzydeł, ptaku. Rozpostrę je i pofrunę z ciepłymi powietrznymi prądami.

Zasnął.

III

Brown obudził go godzinę później. Ciemność rozświetlały żarzące się wiśniowym światłem główne.

– Zdechł twój muł – powiedział. – Przyszykowałem kolację.

– Jak?

Brown wzruszył ramionami.

– Kukurydza prażona, fasola gotowana. Jak inaczej? Jesteś wybredny?

– Nie, chodzi mi o muła.

– Po prostu się położył, to wszystko. Wyglądał na starego. Zoltan wydziobał mu oczy – dodał przeproszającym tonem.

– O! – Rewolwerowiec mógł się tego spodziewać. – W porządku.

Kiedy zasiedli przy kocu, który pełnił funkcję stołu, Brown ponownie go zaskoczył, odmawiając krótką modlitwę: za deszcz, za zdrowie, za duchowy rozwój.

– Wierzysz w życie po życiu? – zapytał rewolwerowiec, kiedy Brown położył trzy gorące kolby kukurydzy na jego talerzu.

Brown pokiwał głową.

– Chyba tak.

IV

Ziarna fasoli były niczym naboje, kukurydza łykowata. Wszechobecny wiatr sapał i zawodził pod sięgającymi ziemi okapami. Rewolwerowiec jadł żarłocznie, popijając posiłek czterema kubkami wody. W połowie kolacji rozległo się szybkie niczym karabin maszynowy stukanie do drzwi. Brown wstał i wpuścił do środka Zoltana. Ptak przeleciał przez izbę i przycupnął naburmuszony w kącie.

– Muzyczny frykas – mruknął.

– Myślałeś kiedyś, żeby go zjeść? – zapytał rewolwerowiec.

Osadnik roześmiał się.

– Mówiące zwierzęta są twarde – powiedział. – Ptaki, billy-bumblery, ludzka fasola. Są twarde w jedzeniu.

Po kolacji rewolwerowiec poczęstował Browna tytoniem. Osadnik nie dał się dwa razy prosić.

Teraz, pomyślał rewolwerowiec. Teraz zaczną się pytania.

A jednak Brown nie zadawał żadnych pytań. Palił tytoń, który dojrzewał przed laty w Garlan, i spoglądał na szczapy dopalające się w palenisku. W izbie zrobiło się wyraźnie chłodniej.

– Nie wódź nas na pokuszenie – oznajmił nagle apokaliptycznym tonem Zoltan.

Rewolwerowiec wzdrygnął się, jakby do niego strzelano. Doszedł nagle do przekonania, że wszystko to jest iluzją, że człowiek w czerni rzucił urok i stara się dać mu coś do zrozumienia w irytująco niejasny, symboliczny sposób.

– Znasz Tull? – zapytał nagle.

Brown pokiwał głową.

– Minałem je w drodze tutaj i kiedyś wybrałem się tam, żeby sprzedać kukurydzę i wypić szklaneczkę whiskey. W tamtym roku padało. Cały deszcz trwał może piętnaście minut. Ziemia jakby się otworzyła i wessała całą wilgoć. Po godzinie było tak samo białe i sucho jak zawsze. Ale kukurydza... Boże... Widziało się, jak rośnie. To nie było takie złe. Słyszało się, jak rośnie... jak gdyby deszcz dał jej głos. Ten dźwięk nie był zbyt radosny. Tak jakby, wychodząc z ziemi, przez cały czas wzdychała i jęczała. Zebrałem duże plony – dodał po chwili Brown – więc wziąłem ją i sprzedałem. Pappa Doc powiedział, że to robi, ale na pewno by mnie oszukał. Więc poszedłem sam.

– Nie lubisz miasta?

– Nie.

– O mało tam nie zginąłem – wyznał raptem rewolwerowiec.

– Tak twierdzisz?

– Niech mnie kule biją, jeśli kłamię. I zabiłem człowieka, który został dotknięty przez Boga. Tyle że to wcale nie był Bóg. To był człowiek, który wyciągnął królika z rękawa. Człowiek w czerni.

– Zastawił na ciebie pułapkę.

– Jakbyś zgadł. Dziękuję.

Spoglądali na siebie w półmroku, czując, że zbliża się kulminacyjny moment.

Teraz zaczną się pytania.

Brown jednak o nic nie pytał. Jego papieros prawie całkiem się wypalił, lecz kiedy rewolwerowiec poklepał woreczek z tytoń-
niem, pokręcił głową.

Zoltan poruszył się niespokojnie, jakby chciał coś powiedzieć, ale potem się rozmyślił.

– Mam ci o tym opowiedzieć? – zapytał rewolwerowiec. – Normalnie nie jestem zbyt gadatliwy, ale...

– Mówienie czasami pomaga. Wysłucham cię.

Rewolwerowiec szukał słów, od których mógłby zacząć, lecz nie znalazł żadnych.

– Muszę się odlać – oświadczył.

Brown pokiwał głową.

– Odlej się na polu.

– Jasne.

Rewolwerowiec wspiął się po schodkach i wyszedł w mrok. Nad głową migotały mu gwiazdy. Pulsował wiatr. Drżąca struga moczu zatoczyła łuk nad osypującym się poletkiem kukurydzy. Zwabił go tu człowiek w czerni. Niewykluczone, że sam Brown jest człowiekiem w czerni. Mógł być...

Rewolwerowiec odsunął od siebie te bezproduktywne i dręczące myśli. Jedyną rzeczą, z którą nie potrafiłby sobie poradzić, było własne szaleństwo. Wrócił do izby.

– Rozstrzygnąłeś już, czy ktoś rzucił na mnie urok? – zapytał rozbawiony Brown.

Rewolwerowiec zatrzymał się, zaskoczony, na niewielkim podeście. Po chwili powoli zszedł i usiadł.

– Przyszło mi coś takiego do głowy. A rzucił?

– Jeśli rzucił, nic o tym nie wiem.

Nie była to zbyt pomocna odpowiedź, więc rewolwerowiec puścił ją mimo uszu.

– Zacząłem ci opowiadać o Tull.

– Czy miasto się rozwija?

– Jest wymarłe – odparł rewolwerowiec. – Zabiłem je.

A teraz zabiję ciebie, miał ochotę dodać, *choćby dlatego, że nie chcę spać z otwartym okiem*. Ale czy stać go było na taki postępek? Jeśli tak, po co było iść dalej? Po co, jeśli upodobał się do tego, którego ścigał?

– Nic od ciebie nie chcę, rewolwerowcze – rzekł Brown – prócz tego, by żyć tu dalej, kiedy ruszysz w drogę. Nie będę cię błagać o życie, ale to wcale nie oznacza, że nie chcę się nim jeszcze trochę nacieszyć.

Rewolwerowiec zamknął oczy. W głowie miał mętlik.

– Powiedz mi, kim jesteś – powiedział grubym głosem.

– Zwykłym człowiekiem. Który nie chce zrobić ci krzywdy. I mam ochotę cię wysłuchać, jeśli zdecydujesz się mówić.

Rewolwerowiec nic na to nie odpowiedział.

– Zgaduję, że nie zaczniesz, dopóki cię o to nie poproszę – ciągnął Brown. – Zatem zrobię to. Czy mógłbyś mi opowiedzieć o Tull?

Rewolwerowiec z zaskoczeniem zauważył, że tym razem nie brakuje mu słów. Zaczął opowiadać urywanymi monosylabami, które z wolna rozwinęły się w równą, beznamiętną narrację. Zorientował się, że jest dziwnie podekscytowany. Mówił do późna w nocy. Brown w ogóle mu nie przerywał. Podobnie jak ptak.

V

Kupił muła w Pricetown i gdy dotarł do Tull, zwierzę było w dobrej formie. Słońce zaszło już godzinę wcześniej, lecz rewolwerowiec szedł dalej, prowadzony przez łunę, która zawisała nad miasteczkiem, a potem niesamowicie czyste tony barowego pianina, na którym ktoś grał *Hey Jude*. Droga poszerzyła się, kiedy dołączyły do niej boczne trakty. Nad jego głową jarzyły się gdzieniegdzie gwiazdy, wszystkie od dawna martwe.

Lasy skończyły się o wiele wcześniej i zastąpiła je monotonna płaska preria: bezkresne wyludnione pola porośnięte tymotką i niskimi zaroślami; ponure opuszczone posiadłości strzeżone przez cieniste, złowrogie dwory, z całą pewnością nawiedzane przez demony; ziejące pustką chaty, z których ludzie albo odeszli sami, albo zostali wysiedleni; rzadkie chałupki osadników, których obecność zdradzało pojedyncze migotliwe światło w nocy albo posępne, niekontaktujące się z nikim klany, które trudziły się za dnia na polach. Uprawiano głównie kukurydzę, ale również fasolę i szkarłatkę. Od czasu do czasu widział wychudłą krowę, gapiącą się spomiędzy okorowanych olchowych palików. Cztery razy mijały go dylizanse, dwa razy jadące w jedną, dwa razy w drugą stronę, prawie puste, gdy nadjeżdżały z tyłu, i pełniejsze, gdy podążały z powrotem w stronę lasów na północy. Co jakiś czas przejeżdżał wieśniak z nogami opartymi wysoko o błotnik bryki, uważając, żeby nie zatrzymać dłużej wzroku na człowieku z rewolwerami.

To był brzydki kraj. Odkąd opuścił Pricetown, dwukrotnie padało, za każdym razem niemrawo. Nawet tymotka była żółta i przywiedła. Kraj, w którym nikt się nie zatrzymuje po drodze. Nie widział śladów człowieka w czerni. Może podróżował dylizansem.

Rewolwerowiec minął zakręt, po czym zatrzymał cmoknięciem muła i spojrzał w dół na Tull. Miasteczko leżało na dnie okrągłego zagłębienia w kształcie niecki – fałszywy brylant w tandetnej oprawie. Paliło się trochę świateł, w większości tam, skąd dochodziła muzyka. Zobaczył cztery ulice. Trzy krzyżowały się pod kątem prostym z drogą dylizansów, która była główną ulicą miasteczka. Może mieli tam knajpę. Nie bardzo w to wierzył, ale może. Cmoknął na muła.

Przy drodze pojawiło się teraz więcej domów, większość opuszczonych. Minął niewielki cmentarz z przekrzywionymi, spróchniałymi drewnianymi nagrobkami, które obrosło cuchnące diabel-

skie zielsko. Może dwieście jardów dalej stała nadgryziona tablica z napisem: TULL.

Farba złuszczyła się z niej do granicy czytelności. Dalej stał kolejny znak, ale rewolwerowiec nie zdołał odcyfrować na nim ani jednej litery.

Kiedy wszedł do centrum miasteczka, chór przepitych głosów unosił się w finałowym zaśpiewie *Hey Jude*.

– Naa-naa-naa, naa-na-na-na... hej, Jude...

Głosy brzmiały głucho niczym wiatr hulający w dziupli martwego drzewa. Tylko prozaiczne postukiwanie młoteczków barowego pianina odsunęło od niego podejrzenie, że to człowiek w czerni wskrzesił duchy, by zaludnić opuszczone miasto. Na myśl o tym lekko się uśmiechnął.

Na ulicy widać było trochę ludzi. Trzy panie w czarnych spodniach oraz identycznych bluzkach z wysokimi kołnierzymi przeszły drewnianym chodnikiem po drugiej stronie ulicy, świadomie odwracając od niego wzrok. Ich twarze wydawały się płynąć nad prawie niewidocznymi ciałami, niczym wielkie, blade, opatrzone oczyma piłki. Smutny staruszek we wciśniętym na głowę słomkowym kapeluszu obserwował go ze stopni zabitego deskami sklepu. Przyjmujący późnego klienta chudy krawiec przerwał przymiarke i podniósł wyżej lampę w oknie, żeby móc mu się lepiej przyjrzeć. Rewolwerowiec skinął mu głową. Ani krawiec, ani jego klient nie odwzajemnili ukłonu. Czuł ich wzrok utkwiony w przylegających do jego bioder, wiszących nisko kaburach. Młody, mniej więcej trzynastoletni chłopak i dziewczynka, która mogła być jego siostrzyczką lub sympatią, przeszli na drugą stronę ulicy, prawie niedostrzegalnie wstrzymując krok. Ich stopy wzbijały w górę małe obłoczki kurzu. W środku miasta paliła się większość latarni, ale nie były elektryczne; ich szybki pokrywał ciemny osad nafty. Niektóre były potłuczone. Trochę dalej stała publiczna stajnia w oplakanym stanie, zawdzięczająca chyba swoje przetrwanie

dyliżansom. Przy jej otwartych wrotach, wokół nakreślonego na ziemi koła do gry w kulki, kucali w milczeniu trzej chłopcy, rzucając długie cienie na podwórze i pałac papierosy nabite łuskami kukurydzy. Jeden z nich miał ogon skorpiona, wbity we wstążkę kapelusza. Inny spuchnięte niewidzące lewe oko, które wystawało z oczodołu.

Rewolwerowiec powiódł obok nich muła i zajrzał w głąb pograżonej w półmroku stajni. W świetle pojedynczej lampy tańczył cień chudego jak tyczka, ubranego w dreluchy starszego mężczyzny, który, machając energicznie widłami, wrzucał na strych luźne siano tymotki.

– Hej! – zawołał rewolwerowiec.

Widły znieruchomiały. Stajenny obejrzał się i wbił w niego żółtawe oczka.

– Hej! – odkrzyknął.

– Mam muła.

– To dobrze.

Rewolwerowiec rzucił w półmrok ciężką, nierówno karbowaną złotą monetę, która zamigotała i zadzwoniła o stare, pokryte sieczką deski.

Stajenny podniósł ją i zerknął z ukosa na przybysza. Jego oczy zatrzymały się na taśmach z nabojami i pokiwał ponuro głową.

– Na jak długo chcesz go zostawić?

– Na jedną albo dwie noce. Może na dłużej.

– Nie mam jak wydać reszty.

– Nie prosiłem o resztę.

– Pieniądze z rozboju – mruknął stajenny.

– Coś powiedział?

– Nic.

Stajenny wziął muła za uzdę i wprowadził do środka.

– Wyszczotkuj go! – zawołał rewolwerowiec. – Kiedy wrócę, poznam po jego zapachu, czy to zrobiłeś, pamiętaj!

Mężczyzna nie odwrócił się.